

Państwo Islamskie może wygrać



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Dżihadyści od początku roku stracili tylko ok. 9 proc. zdobytych terytoriów. To prawie nic, biorąc pod uwagę, że mają przeciwko sobie koalicję 60 państw pod wodzą światowego hegemonia

Rok od rozpoczęcia kampanii nalotów, prowadzonej przez międzynarodową koalicję pod przywództwem USA, Państwo Islamskie (IS) nie straciło na sile. Dżihadyści zdobyli Mosul i Ramadi w Iraku oraz syryjską Palmyrę. Poszerzyli także swoje wpływy w Libii, w Egipcie (na półwyspie Synaj) oraz w Afganistanie, gdzie wyrывают talibom kolejne połacie ziemi, i przeprowadzili pierwszy atak terrorystyczny w Arabii Saudyjskiej, wysadzając w powietrze szyicki meczet w Katifie. I choć po drodze zginęło ponad 10 tys. bojowników IS, organizacji udaje się – dzięki nowoczesnej kampanii propagandowej – stale rekrutować nowych.

Czy zatem Państwo Islamskie wygrywa? Odpowiedź na chwilę obecną brzmi: tak. A odpowiedzialność za to ponoszą w dużej mierze Stany Zjednoczone.

Amerykane nie chcą po sobie posprzątać

Najpierw Amerykanie poprzez interwencję zbrojną w 2003 r. rozbili struktury irackiego państwa. Następnie ustanowili

w Bagdadzie szyicki rząd, niszcząc hegemonię, jaką sunnici cieszyli się przez ponad tysiąc lat. Skończyło się to krwawym odwetem sunnitów, którzy dołączyli do szeregów tworzącego się w pogrążonej w wojnie domowej Syrii Państwa Islamskiego. (O twórcach Państwa Islamskiego [pisaliśmy w jednym z wcześniejszych numerów „Nowej Konfederacji”](#)).

A teraz Waszyngton nie chce po sobie posprzątać. Mimo że Amerykanom nie udało się przywrócić porządku i równowagi w Iraku, Obama w 2011 r. wycofał stamtąd amerykańskie wojsko i postanowił walczyć z dżihadystami wyłącznie z powietrza. Początkowo mówił o „zniszczeniu” IS, potem o „ograniczeniu” jego wpływów, by w końcu stwierdzić, że Państwo Islamskie to „problem do opanowania”, przy bardzo niewielkim nakładzie środków militarnych.

Ostatnie kilka miesięcy pokazały, że naloty prowadzone przez amerykańskie lotnictwo nie wystarczą, by zniszczyć pozycje dżihadystów. A walka na ziemi, prowadzona w Syrii przez kurdyjskie „Ludowe Jednostki Obrony” (YPG), jest utrudniona przez Turcję, która atakuje pozycje zwią-

zanej z YPG Partii Pracujących Kurdystanu (PKK) w północnym Iraku. Przez długi czas Ankara tolerowała IS, rozumując zgodnie z zasadą „dziel i rządź”. Erdoğan wyobrażał sobie, że skorzysta na konflikcie zbrojnym między Kurdami a Państwem Islamskim, czekając, aż obie strony się wykrwawią. Licząc jednocześnie na to, że wrogi mu syryjski reżim zostanie w międzyczasie obalony.

**Zamiast wzmocnić sojusze,
Waszyngton odtrącił
tradycyjnych partnerów,
Egipt, Arabię Saudyjską,
Izrael, wysyłając
jednocześnie sygnał, że
wrogowie USA mogą robić,
co chcą**

Kalkulacje te okazały się błędne. Zamach terrorystyczny w Suruç zmusił w końcu Ankarę do dołączenia do międzynarodowej koalicji przeciwko IS. Jak na razie jednak Turcja przeprowadziła więcej nalotów na pozycję Kurdów niż na Państwo Islamskie. Kurdowie zaś czują się przez USA zdradzeni. Uważają, że zostali przehandlowani za poparcie Ankary. Po tym, jak Waszyngton odmówił im wsparcia dla od dawna planowanej ofensywy na pozycje IS nad Eufratem, to przekonanie tylko się wzmocniło.

Nic dziwnego więc, że bilans walki z Państwem Islamskim jest mizerny: dżihadysty, których Obama nazwał pogardliwie *junior varsity team* (w nawiązaniu do młodych, niedoświadczonych graczy

ekip footballowych i baseballowych) od początku roku stracili tylko ok. 9 proc. zdobytych terytoriów. To prawie nic, biorąc pod uwagę, że mają przeciwko sobie koalicję 60 państw pod wodzą światowego hegemonu. Organizacji nie brakuje też pieniędzy, czerpie bowiem znaczne zyski ze sprzedaży ropy. Według oficjalnych szacunków departamentu skarbu USA to ok. 500 mln dolarów rocznie. Naloty koalicji wprawdzie uszkodziły niektóre rafinerie, ale nie na tyle, by IS nie udało się ich odbudować. Do tego dżihadysty zrabowali ok. miliard dolarów z banków na zajętych przez siebie terytoriach.

Pomysł Amerykanów, by przeciwstawić dżihadystom dobrze wyszkoloną armię iracką, także spalił na panewce, bowiem z irackiej armii prawie nic nie zostało, a ci żołnierze, którzy jeszcze nie zdezerterowali, okazują słabą chęć do walki. W Syrii Amerykanom – zamiast zapowiadanych 150 tys. bojowników zrekrutowanych wśród umiarkowanych sunnitów i w Wolnej Armii Syryjskiej – udało się wyszkolić zaledwie 60 tys., z czego połowa została już zabita bądź porwana przez IS. W tych warunkach operacja międzynarodowej koalicji, która w założeniu miała trwać trzy lata, będzie się ciągnęła o wiele dłużej. Waszyngton mówi o pięciu, a eksperci nawet o dziesięciu latach.

Bękart zwrotu ku Pacyfikowi

A wynik jest więcej niż wątpliwy, bowiem USA nie zamierzają się angażować bardziej niż teraz – i jest to świadoma strategia. To, że Amerykanie nadali operacji przeciwko IS nazwę *inherent resolve* (głębokie zdecydowanie), świadczy o poczuciu humoru waszyngtońskich strategów. USA przeznaczyły w ubiegłym roku na naloty na pozycje IS tyle samo środków, ile Pen-

tagon wydaje miesięcznie na utrzymanie pokoju w relatywnie spokojnym obecnie Afganistanie.

To słabe zaangażowanie USA na Bliskim Wschodzie wynika ze zmiany strategii polityki zagranicznej za prezydentury Baracka Obamy. Gdy nowy prezydent zasiadł w 2009 r. w Białym Domu, zrezygnował z obowiązującej dotąd strategii *deep engagement* (głębokiego zaangażowania) na rzecz tzw. strategii *retrenchment* (wycofania się). Ameryki – przekonywał Obama – w wymiarze *hard power*, militarnym i geopolitycznym, powinno być jak najmniej. Nie powinna się ona wtrącać do wewnętrznych spraw obcych państw, w każdym razie nie bez mandatu ONZ. Bardziej umiarkowana i powściągliwa polityka miała skłonić sojuszników Waszyngtonu do większej aktywności i samodzielnego ponoszenia kosztów swej obrony. *Partnership* zamiast *leadership*.

Wycofanie się USA z dotychczasowej aktywności w skali globalnej lub jej ograniczenie miało przyczynić się także do zmniejszenia antyamerykanizmu w świecie. Miało też ograniczyć oczekiwania na udział Ameryki w operacjach niezwiązanych bezpośrednio z jej interesami bezpieczeństwa, co w konsekwencji oszczędziłoby jej „krew i pieniądze” i uczyniłoby ją bezpieczniejszą. Ze zmianą strategii wiązało się znaczne obniżenie wydatków na zbrojenia. Dobrowolnemu osłabieniu supermocarstwowej pozycji USA towarzyszy wzrost znaczenia innych potęg, zwłaszcza Chin, i przesuwanie się punktu ciężkości światowej polityki ku regionowi Azji i Pacyfiku.

W efekcie USA odwróciły się zarówno od Europy, jak i od Bliskiego Wschodu. *Pacific pivot*, rozpoczęty jeszcze za prezydentury Busha i dokończony w 2011 r., choć jak dotąd nie spowodował znaczącego

wzrostu poczucia bezpieczeństwa partnerów USA w regionie (Japonia np. zbroi się na potęgę), doprowadził do powstania strategicznej próżni tam, skąd Waszyngton się wycofał. Tę próżnię na Bliskim Wschodzie wypełniło IS. Jednocześnie nasiliła się rywalizacja między państwami regionu, aspirującymi do regionalnego przywództwa (Iran i Arabia Saudyjska toczą obecnie całkiem realną wojnę zastępczą w Jemenu). W konsekwencji Obama nie osiągnął żadnego z celów, które sobie postawił na Bliskim Wschodzie, to jest zakończenia wojny z terrorem i zwiększenia amerykańskiego *soft power*, czyli namówienia sojuszników, by robili to, co leży w interesie USA.

Wprawdzie Obamie udało się znacznie osłabić Al-Kaidę, ale na jej miejscu wyrosło Państwo Islamskie, o wiele bardziej agresywne i znacznie lepiej zorganizowane. Zamiast wzmocnić sojusze, Waszyngton odtrącił tradycyjnych partnerów, Egipt, Arabię Saudyjską, Izrael, wysyłając jednocześnie sygnał, że jego wrogowie mogą robić co chcą, bo nawet jeśli USA wyznaczają czerwone linie, to można je bezkarnie przekraczać. Nie zareagował nawet wtedy, gdy w Libii zginął jego ambasador. Jedyny sukces, który Obama odniósł, to porozumienie z Iranem, ale cena za nie może być wysoka. I tak już krucha równowaga między szyitami a sunnitami może zostać dodatkowo zachwiana i zaognić cały region. To, że Iran dalej będzie prowadził swój program atomowy (słusznie czy nie), nie ulega bowiem wątpliwości. A sunnickie monarchie już zapowiedziały, że nie będą się temu bezczynnie przyglądać.

Wrażenie strategicznego chaosu pogłębia fakt, że USA prowadzą tak naprawdę nie jedną, a dwie wojny: jedną w Syrii, ze wsparciem sunnickich krajów Zatoki Per-

skiej i Kurdów, a drugą w Iraku, z cichym wsparciem Iranu i szkolonych przez niego szyickich bojowników. Nikt nie wie, jak to wszystko ma się kiedykolwiek złożyć w całość, a planiści w Pentagonie najwyraźniej postanowili nie zaprzętać sobie tym głowy. Zamiast tego z Waszyngtonu płynie strumień optymistycznych przekazów. Sam Obama radośnie i z przekonaniem stwierdził, że zwycięstwo IS jest niemożliwe, „bo stoi za nim tylko ideologia i brutalna przemoc”. To błędna ocena.

Wewnętrzna siła IS

Państwo Islamskie jest brutalne, ale bez wątplenia ma długofalową wizję, wykraczającą daleko poza mordowanie. Mariaż radykalnych islamistów, czerpiących inspirację z wahhabizmu, i byłych członków irackiej partii Baas, którzy wiedzą, jak zorganizować państwo policyjne, okazał się bardzo efektywny. IS dąży do ustanowienia państwa sunnickiego na wzór nowoczesnych państw narodowych w Iraku i Syrii, przekraczającego ustanowioną przez francuskich i brytyjskich kolonizatorów linię Sykes'a–Picota. Podpisany w maju 1916 r. pakt stał się dla Arabów symbolem imperialnej dominacji Zachodu. Kolonizatorzy, podobnie jak na innych zdominowanych przez siebie obszarach, dzieląc upadłe państwo osmańskie na Syrię, Irak, Jordanię i Liban, nie wzięli pod uwagę podziałów etnicznych, religijnych czy językowych. Dlatego w Iraku musieli się pomieścić szyici i sunnici, a w Syrii sunnici i alawici. Grupy religijne i etniczne, objęte granicami Iraku i Syrii, nie mają prawie żadnego poczucia lojalności wobec państw narodowych, których są formalnie obywatelami.

Świadomość wspólnoty Arabów zamieszkujących Syrię i Irak utrzymała się

jednak i dziś odżywa z nową siłą. A Państwo Islamskie zręcznie się nią posługuje. Kalifat, który chce ustanowić, ma być państwem opartym nie na dyktaturze, ale na kontrakcie społecznym. I na tym, co łączy Arabów: islamie. Na zajętych przez siebie terenach IS stanowi prawo, prowadzi administrację, ściągą podatki, wypłaca pensje i emerytury oraz zapewnia mieszkańcom bezpieczeństwo. Bez stosowania nadmiernej siły. I jeśli wierzyć doniesieniom amerykańskiego wywiadu, wywiązuje się z tych zadań wzorowo. Na tyle, że sąsiednie państwa już pogodziły się z istnieniem quasi-kalifatu u swoich granic i przymykają oczy na operacje przemytnicze dżihadystów.

Klony Państwa Islamskiego pojawiają się w innych krajach Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki, w upadłej Libii, Egipcie (na Półwyspie Synaj) i Arabii Saudyjskiej

Brutalność IS nie jest przy tym wyłącznie wyrazem określonej wykładni islamu, ale celową strategią polityczną, mającą zmusić sunnitów, by się do niego przyłączyli. Iraccy szyici, zastraszeni morderczą kampanią IS, mszczą się na sunnitach, których uważają za kolaborantów. Ci nie mają innego wyjścia niż szukać schronienia u dżihadystów, bez względu na to, czy popierają ideologię Państwa Islamskiego, czy nie. To pozwala mu przedstawiać się jako „ostatni obrońca sunnitów” w regio-

nie. Jak twierdzą władze w Bagdadzie, obecnie połowa Iraku jest kontrolowana albo przez IS, albo przez Kurdów, a reszta przez szyckie bojówki wspierane przez Iran.

Dżihadu ciąg dalszy?

Jakie to będzie miało konsekwencje? Irak może podzielić się na trzy strefy wpływów: szyckie południe, sunnicko-kurdyjską północ i sunnicko-arabski zachód. I przestanie *de facto* istnieć jako państwo. To byłoby dla USA nawet wygodne, nie musiałyby bowiem się głowić nad długofalowym rozwiązaniem politycznym dla tego kraju ani wydać choćby jednego dolara na jego odbudowę.

Upadłość irackiego państwa może ułatwić Państwu Islamskiemu zdobycie kolejnych terenów, w tym stolicę Bagdad, tym bardziej że kontroluje ono już największą administracyjną część Iraku – prowincję Anbar. Ale na tym jego ambicje zapewne się nie skończą. IS już od jakiegoś czasu infiltruje – osłabiony przez wewnętrzny konflikt między szyitami a sunnitami – sąsiedni Liban. Jeśli wierzyć władzom w Bejrucie, niedawne gwałtowne zamieszki w stolicy kraju, związane z kryzysem śmieciowym, zostały „wywołane przez agentów z zewnątrz”. Premier Tammam Salam nie sprecyzował, o kogo chodzi, ale libańscy komentatorzy wskazują na IS. Liban, słaby ekonomicznie i militarnie, nie poradziłby sobie zapewne z inwazją islamistów. Jednocześnie klony Państwa Islamskiego pojawiają się w innych krajach Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki, w upadłej Libii, Egipcie (na Półwyspie Synaj) i Arabii Saudyjskiej.

Jeśli więc Amerykanie nie zdecydują się na szeroko zakrojoną lądową ofensywę przeciwko Państwu Islamskiemu, zdobędzie ono kolejne tereny, grając na rosnącej rywalizacji o przywództwo w regionie między szyckim Iranem a sunnicką Arabią Saudyjską. Dla Europy konsekwencje będą dramatyczne: niedaleko jej granic istnieć będzie Kalifat, a wraz z nim permanentne zagrożenie terrorystyczne. Fala uchodźców, z którą już teraz kraje europejskie sobie nie radzą, jeszcze się zwiększy. Wszyscy, którym bycie podwładnym nowych Kalifów będzie nie w smak, wybiorą się w podróż do ziemi obiecanej. Destabilizacja Bliskiego Wschodu się nasili, granice nakreślone przez kolonizatorów jedna po drugiej upadną.

Marne perspektywy

By temu zapobiec, należałoby zażegnać konflikt w Syrii. Ze względu na przeciwstawne interesy, które się tam ze sobą zderzają (Iran, Rosja, Arabia Saudyjska i kraje Zatoki Perskiej), nie wydaje się to jednak w bliższej, a nawet dalszej perspektywie, możliwe. Pozostaje nam więc pogodzić się z możliwością, że IS okaże się czymś więcej niż przejściowym zjawiskiem. A jego umocnienie się na Bliskim Wschodzie będzie negatywnie wpływać na nasze osobiste bezpieczeństwo.

Co więcej, jak na razie nie ma podstaw, by sądzić, że następna amerykańska administracja, jakkolwiek będzie, poradzi sobie z tym problemem lepiej niż obecna. W każdym razie dopóty, dopóki nie porzuci obecnej strategii wycofania i nie zdecyduje się na większe zaangażowanie w regionie.